

KWIATY *dla*
KLEMENTYNY

ALEKSANDER MINKOWSKI



SAGA
EGMONT

KWIATY *dla*
KLEMENTYNY

ALEKSANDER MINKOWSKI

Aleksander Minkowski

Kwiaty dla Klementyny

Saga

Kwiaty dla Klementyny

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 1964, 2022 Aleksander Minkowski i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728177624

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

I

Opel był zakurzony, zielonożółta farba ochronna łuszczyła się jak skóra po świerzbie. Hugo dokręcił trzecią mutrę. Wyprostował się, podrzucając na dłoni klucz francuski. Oficer dotknął opony czubkiem wyglansowanego buta.

— Fertig? — zapytał.

— Jawohl, Herr Leutnant — odparł Hugo.

Żołnierz nacisnął starter; oficer delikatnie opuścił się na siedzenie, przyglądał fałdy munduru, dotknął daszka. — Danke... — mruknął.

Samochód ruszył spazmatycznym zrywem, odpluwając kłęb niebieskawych cuchnących spalin. Hugo otrzepał kombinezon, zaciągnął pasek. Był szczupły w talii, biodra miał także szczupłe, za to ramiona szerokie; harmonijna budowa w jakimś stopniu rekompensowała niski wzrost.

Z warsztatu wyszedł Zdunek, stanął obok Hugona. Łysy, o zaokrąglonych plecach, przewyższał go niemal o głowę. Miał pod dostatkiem tego, co dla chłopca było nieosiągalne. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że to ma, że Hugo musi podnieść głowę, aby mu spojrzeć w twarz. Na skrzyżowaniu wygasał obłok kurzu.

— Niedaleko zajadzie — powiedział Hugo. — To będzie przykre dla Herr Leutnanta.

— Co zrobiłeś? — zapytał Zdunek.

Głos miał głęboki, chrypiący, zsynchronizowany z niedźwiedzią sylwetką.

— Nic szczególnego — powiedział Hugo. — Mutry zawsze mogą się obluzować.

Zdunek przysunął się do niego, pochylił.

— Spiłowałeś?

— Odrobinę. — Hugo uśmiechnął się. — Przy szybkiej jeździe występują drgania. Wibracja może spowodować nieprzewidziane...

Zdunek nie dał mu dokończyć. Chwycił go bochnowatą łapą za ramię. — Słuchaj, Hugo. — Dłoń boleśnie ugniatała obojczyk. — Mówiłem ci, żebyś nie robił żadnych numerów na własną rękę. Ten oficer przypomni sobie nasz warsztat.

Skrętem tułowia Hugo uwolnił ramię. Znów uśmiechnął się do Zdunka. — Zrobiłem to delikatnie — powiedział. — Kierowca gapił mi się na ręce przez cały czas. Nie ma obawy. Poza tym czekam już dwa miesiące.

Zdunek wyjął z kieszeni kombinezonu wygniecioną paczkę Juno. Zapalił, nie częstując Hugona. W grubych czarnych palcach papieros wyglądał jak pet. Hugo przestał się uśmiechać. Patrzył na Zdunka, głaszcząc klucz francuski.

— Mamy do ciebie jedną sprawę — powiedział Zdunek przyglądając się kominowi, którego cień wycinał w blasze dachu ciemną prostokątną smugę. — Wstąp do mnie o piątej.

Hugo skinął głową. Chciał poprosić Zdunka o przesunięcie spotkania na szóstą, bo o piątej miała do niego przyjść Elżbieta — nie widział jej cały ostatni tydzień. Zamiast tego powtórnie skinął głową, jak gdyby po chwili namysłu zatwierdzał spontaniczną zgodę.

Zostawił dla niej kartkę: *Musiałem wyjść, jeżeli możesz, zaczekaj na mnie. Muszę się z tobą zobaczyć.* „Muszę” podkreślił dwa razy czerwonym ołówkiem. Dopisał jeszcze: *Postaram się wrócić jak najszybciej.* Zwinął kartkę w rulonik i wsunął ją do dziurki od klucza. Jeżeli zechce zaczekać, będzie stała na klatce schodowej — śmierdzi tam rybami (Korczycowa z parteru handluje śledziami na

bazarze), z sufitu zwisa pajęczyna, przez brudne okienko widać równie brudne podwórze i dwa nagie drzewka, między którymi wiszą sznury z bielizną. Córka wykwintnego poety, pachnąca przedwojennym bzem, ma czekać na niego w tym zaduchu i brudzie. Na pewno będzie miała na sobie jasnoniebieską sukienkę (wie, że Hugo przepada za tą sukienką, miękką w dotknięciu, eksponującą talię modelki z żurnala), oprze się o parapet i odbije na łokciach stemple brunatnego kurzu...

Przestał o tym myśleć dopiero w mrocznej bramie, pukając do drzwi z tekturową tabliczką „Jan Zdunek — mechanik samochodowy”. Właściwie zmuszał się do myślenia o tym przez całą drogę, bo wszystko, co miało jakiś związek z Elżbietą, działało na niego uspokajająco. Zapukał w umówiony sposób — były to dwa szybkie stuknięcia i trzecie dopiero po paru chwilach. Otworzył mu Zdunek; miał na sobie kraciastą flanelową koszulę, z rozcięcia wynurzały się kłaczki siwych włosów. Wprowadził go do pokoju. Hugo był już tutaj, pamiętał zielonkawą tapetę, zasłony z koców na oknach, duży jesionowy stół, na środku którego stał smukły ceramiczny wazon z pękiem przywiedłych tulipanów. Przy stole, zwrócony twarzą do drzwi, siedział otyły mężczyzna w brązowej marynarce.

— Towarzysz Michał — przedstawił go Zdunek.

Hugo usiadł na wskazanym mu krześle. Mężczyzna przyglądał mu się w milczeniu, przypalając nieśpiesznie papierosa. Brwi zbiegały mu się u nasady nosa, tworząc krzaczastą kępkę. Gwałtowna śmierć, pomyślał Hugo. Zdunek usiadł między nimi, wsparł się łokciami o blat stołu.

— Towarzysz Zdunek ma o was dobre zdanie — powiedział mężczyzna. — No cóż. Możecie wyjechać?

— Po prostu wyjechać? — zapytał Hugo.

— Po prostu — powiedział mężczyzna, nazwany przez Zdunka towarzyszem Michałem. — Dokądś pojechać i

pojutrze wrócić.

Hugo spojrział na swoje palce. Przez ten rok pracy w warsztacie bardzo się zmieniły: nie były już miękkie, białe, elastyczne; powlekała je zrogowaciała skóra, naznaczona draśnięciami i plamami od smarów.

— Myślałem, że wreszcie doczekam się czegoś na serio — powiedział.

Mężczyzna uśmiechnął się; był to jednak zaledwie przelotny błysk, wygaszony surowością. — Wszystko, co robimy, jest na serio — odezwał się patrząc uważnie na Hugona, jak gdyby ten przemienił się nagle w jakiś niezwykle przedmiot o tajemniczym zastosowaniu. — No więc?

— Miałem na myśli jakąś akcję... — Hugo nie dokończył, stropiony nieżyczliwym spojrzeniem Zdunka. — Oczywiście, mogę pojechać.

Między mężczyzną a Zdunkiem leżała ceratowa szachownica z rozstawionymi na niej figurami. Towarzysz Michał zainteresował się nagle układem figur; po paru sekundach namysłu przesunął wieżę do białego narożnika.

— W porządku — powiedział. — Straciliśmy kontakt z oddziałem Szarego. Łącznik wpadł, macie go zastąpić. Pojedźcie do Gajewa. Tam zgłosicie się na ulicę Polną trzy, mieszkania jeden. Powiecie: „Chcę kupić ze dwa kilo słoniny”. Odpowiedzą wam: „Słoniną handluje Kacperek”. Zapamiętacie?

— Chcę kupić ze dwa kilo słoniny — powtórzył Hugo. — Słoniną handluje Kacperek. Co dalej?

— Dobrze — powiedział towarzysz Michał. — Jeżeli właśnie tak wam odpowiedzą, to znaczy, że wszystko w porządku. Wówczas powiecie: „We środę należy zanieść kwiaty na grób Klementyny”.

— We środę należy zanieść kwiaty na grób Klementyny — powtórzył Hugo. — We środę należy zanieść kwiaty na grób

Klementyny. To nawet ładnie brzmi.

— Zdaje się, że czytałem kiedyś wasz wiersz... — powiedział towarzysz Michał. — Ale nie chodzi o brzmienie. To jest rozkaz. Bardzo ważny rozkaz. Może się zdarzyć, że na Polnej nie odpowiedzą na hasło. Wtedy zaczekacie do zmierzchu.

— Rozumiem — powiedział Hugo. — We środę należy zanieść kwiaty na grób Klementyny.

— O zmierzchu pójdziecie szosą w kierunku wsi Jankowice. Na drugim kilometrze szosę przetnie polna droga. Skręćcie w prawo; po jakichś ośmiuset metrach zobaczycie leśniczówkę. Hasło i odzew te same.

— Jasne — powiedział Hugo. — Dwa kilo słoniny i handlarz Kacperek. A jeśli i tam nie odpowiedzą?

Mężczyzna spojrzał na szachownicę, potem na Zdunka. — Należy liczyć się z taką możliwością — powiedział. — Wtedy wróćcie. Zdunek mówił mi, że znacie dobrze język niemiecki.

— Rok studiów na germanistyce — powiedział Hugo.

— Papiery macie w porządku? Dobrze. Gdyby was ktoś zaczepił, powiecie, że przyjechaliście w odwiedziny do kuzynów w Jankowicach. Krewni nazywają się Łuczakowie. Jest taka rodzina we wsi, w razie czego potwierdzą. Wyruszyście jutro rannym pociągiem.

Zdunek wyszedł z pokoju, po chwili wrócił, stawiając na stole półmisek z jabłkami. Hugo wybrał duże czerwone jabłko, po skórcie spływały kropelki wody.

— Dobrze — powiedział. — Chociaż spodziewałem się czegoś ciekawszego. Odbędę miłą wycieczkę. To wszystko?

Towarzysz Michał podniósł się z krzesła. Był znacznie wyższy niż się wydawało. Podeszedł do Hugona, zatrzymał się o krok od niego, wykonując ręką niezdecydowany ruch, jak gdyby zamierzał ją oprzeć na ramieniu chłopca; nie

zrobił tego jednaką ręka ześliznęła się, opadła na krawędź stołu.

— Posłuchaj — odezwał się półgłosem. — To nie jest wycieczka. Poprzedni łącznik zginął. O wiele łatwiej działać w grupie, z bronią, niż iść na zadanie samemu. Mam nadzieję, że tego nie odczujesz.

Hugo odgryzł duży kawał jabłka. Miał pełne usta kwaśnego mięszu. — Tak jest — powiedział uśmiechając się do towarzysza Michała. — Szary dowie się, że ma zanieść we środę kwiaty na grób Klementyny. Słowo honoru, że mu przekażę tę smutną wiadomość.

Towarzysz Michał nie odpowiedział na uśmiech. Odwrócił się do Zdunka. Hugo poczuł, że Zdunek trąca go w ramię.

— Nie błaznuj, szczeniaku — usłyszał. — Poręczyłem za ciebie. Gdybym nie znał twego ojca...

Hugo wstał, omal nie wywracając krzesła. — Dosyc — powiedział. — Nie jestem idiotą. Zostawcie ojca w spokoju.

— Przepraszam — odezwał się cicho Zdunek. — Po prostu nie zawsze ma się ochotę na żarty.

Na klatce schodowej nie było nikogo. Ściślej: stała tam Korczycowa wybijając kurz z pstrokatego dywanika. Do fetoru ryb przyłączył się gryzący zapach zleżalego brudu. Elżbieta nie czekała. Możliwe, że wybuch złości wywołała przede wszystkim jej nieobecność. Hugo zatrzymał się w połowie schodów, mając nad sobą pustą klatkę, w dole zaś Korczycową trzepiącą dywanik.

— Mało tu jeszcze smrodu? — rzucił. — Niech pani trzepie w swojej sypialni, będzie intymny aromat.

— Gówniarzu! — zagłuszyła go niemal męskim basem. — Nie podoba się? To zatkać ten swój inteligentny nosek! Ja ci dam sypialnię...

— Z brudu powstałaś, w brud się przemienisz...

Hugo wbiegł do mieszkania i zatrzęsął za sobą drzwi, wyciszając histeryczny wrzask staruchy. Dotarło do niego w strzępach: „... gestapo... bolszewik... robią porządek...”

Dopiero u siebie w pokoju, grzebiąc w szafce w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia, Hugo zdał sobie sprawę, że znikł liścik, który zostawił w dziurce od zamka. To znaczy, że Elżbieta była. Nie potrafiła na niego poczekać. Może nie chciała, może się nawet ucieszyła, że ma ten pretekst. Znalazł słoik z resztką buraczanego dżemu, wygarnął go łyżeczką i rozsmarował na kromce chleba. Dżem miał mdłą słodycz sacharyny. Hugo wyobraził sobie Herr Leutnahta pędzącego oplem szosą na Mińsk. Przednie lewe koło zaczyna balansować, spada ostatnia mutra, wóz wywija koziołka i wlatuje do rowu; po szosie toczy się samotne koło... Mogła jednak poczekać.

Leżąc na sofie, wpatrywał się w sufit, po którym cwałował na koniu jeździec bez głowy. Żółtawy zaciek, pokryty odpryskami tynku, przypominał abstrakcyjne malowidło, jeździec bez głowy był trzecim wariantem po aportującym niedźwiedziu i samolocie z utraconym skrzydłem. We środę należy zanieść kwiaty na grób Klementyny, słoniną handluje Kacperek. Po tych trzech przerzutach bibuły spodziewał się od Zdunka czegoś więcej, tydzień temu miasto sapało z podniecenia, szepcząc o wysadzeniu przez alowców pociągu z amunicją; Hugo dowiedział się o tym ostatni, stojąc w kolejce po chleb.

Wilczy jazgot syreny, potem kilka rozproszonych odległością wystrzałów. Żadnego wrażenia, nawet ciekawości, nic, jeździec z jajecznicą nad głową, rytmiczny, tępy odgłos trzepaczki spadającej na dywan, brzęk kropel z źle zakręconego kranu. Dopiero to pukanie do drzwi. Nieśpiesznie wstając z sofy, Hugo miał pewność, że za drzwiami stoi Elżbieta w swej bladoniebieskiej sukience, bo

nikt oprócz Elżbiety do niego nie przychodził, a tę sukienkę lubił najbardziej.

— Miałam jeszcze coś do załatwienia na mieście — powiedziała siadając obok niego na sofie. — Gniewasz się, że nie czekałam?

Nie była ładna. Banalna twarzyczka o nieco zadartym nosie i pulchnych wargach, wspartych na wysuniętym uzębieniu. Kontrast stanowiły oczy, jak gdyby wzięte z innej twarzy: wielkie kawały błękitu, przesycone światłem.

— Nie — powiedział Hugo. — Byłem pewien, że przyjdiesz.

— Mało brakowało, a nie przyszedłabym. — Dotknęła jego ręki. — Ojciec źle się czuje. Jest coraz słabszy.

— Mam coś dla niego.

Hugo wstał, podszedł do szafki. Wyjął stamtąd półlitrowy słoik ze smalcem i podał go Elżbiecie. Zaczerwieniła się, biorąc od niego słój. Zawsze czerwieniła się w takich sytuacjach, nie mogła opanować sztuki przyjmowania w sposób naturalny, tak jakby to była chusteczka podniesiona z podłogi. Zapewne przypominała sobie w takich chwilach Hugona, bladego, speszzonego, i ojca niedbale rozpartego w fotelu, z arkuszem maszynopisu tuż przy oczach. Wcale dobre, mówił ojciec uśmiechając się dobrotliwie, ma pan zadatki na prawdziwego poetę, tylko w tym miejscu, proszę zwrócić uwagę, wiersz trochę się łamie... Niech pan to dopracuje, chętnie zamieszczę. Przypominała sobie zapewne tych parę identycznych scen, raz tylko zakłóconych sporem (to już przesada, powiedział ojciec, bagnet w brzuchu wyzyskiwacza nie jest obrazem poetyckim, ale jakąś makabrą, my, poeci, mamy szczytniejsze cele niż wtrącanie się do płaskich utarczek klasowych. To nie są płaskie utarczki, powiedział Hugo, onieśmielony ale stanowczy, chodzi o społeczną sprawiedliwość, o jutro dręczonych ludzi. Spór trwał długo,

ojciec jednak wiersza nie wydrukował), przypominała sobie, przyjmując słoik ze smalcem albo paczkę tytoniu, albo żółtawy cukier w grubej papierowej torebce i płoniła się za każdym razem.

— Dziękuję ci, Hugo — powiedziała. — Masz jutro trochę wolnego czasu? Ojciec prosi, żebyś nas odwiedził.

Forma rewanzu za tytoń i smalec. Ojciec Elżbiety nie był już tym wspaniałym mężczyzną o lwiej grzywie i wypolerowanych paznokciach, którego obecność onieśmielała, pozbawiała odwagi. Zgrzybiał, skurczył się, barwa głosu straciła połysk, całą swoją fascynację. Przedwczesny starzec, nie umiejący znaleźć sobie miejsca w nowych warunkach, złamany, słaby.

— Niestety — powiedział Hugo. — Jutro wyjeżdżam.

Spojrzała na niego zaskoczona. Nigdy dotychczas nie wyjeżdżał, o ile wiedziała, nie miał poza tym miastem rodziny ani znajomych.

— Dokąd? — spytała.

— W siną dal. — Uśmiechnął się. — Za dwa dni będę z powrotem.

Dopiero teraz domyśliła się. Poczuł jej palce na swojej dłoni.

— Hugo powiedziała. — Błagam cię.

Uwolnił dłoń. Denerwowała go zaborczość dziewczyny, którą zaledwie parę razy pocałował. Właściwie byli przyjaciółmi, tylko przyjaciółmi, kolegami ze studiów; prawdopodobnie gdyby nie jej ojciec, nie zainteresowałby się bliżej Elżbietą; przelał na nią niegdyś część podziwu, jaki miał dla jej ojca-poety.

— Daj spokój — powiedział spacerując po pokoju, od drzwi do okna i z powrotem. — Wracam pojutrze.

— Błagam cię — powtórzyła. — Chyba już dosyć przeżyłeś.

Odwrócił się do niej gwałtownie. Uśmiech był ironiczny, na pograniczu obelgi. — A ty za mało — powiedział. — Żeby zrozumieć. Pilnuj tatusia i daj temu spokój.

Niebieska sukienka przyparła go do framugi okiennej. Poczuł cienki zapach bzu, aż zakręciło się w głowie.

— Boję się o ciebie — usłyszał.

— To miłe. Czuję się tak, jakbyśmy byli parą narzeczonych. Szkoda, że dotychczas nie pomyślałem o oświadczeniach.

— Drwiesz? — Sukienka cofnęła się, opadła na sofę fałdami wokół kolan. — Nie chcę, żebyś wpadł jak idiota. Jedyne, co nam zostaje, to trwać; w tym wypadku tatuś ma rację.

— Nie mam nic przeciwko trwaniu twego tatusia. — Znalazł w kieszeni przełamany papieros, wsadził go do drewnianej lufki, zapalił. — Jest za słaby, żeby robić cokolwiek innego. Ale ja...

— Ojciec pisze — przerwała mu. — To jest coś więcej niż wasza zabawa w konspirację. Czas pokaże.

— Przyszedł do mnie po smalec — powiedział, i było już za późno, żeby cofnąć te słowa, nadać im inny sens. — Wieprzowy tłuszcz pomoże wam przetrwać. Przykro mi, że narażam swoje życie, tak potrzebne twemu ojcu. Nic jednak nie poradzę. Mówiłem ci to cztery miesiące temu.

Przeraził go jej płacz. Nigdy nie widział Elżbiety płaczącej, brzydko wykrzywionych warg, mokrych policzków. Podszedł do niej, chciał ją objąć, odepchnęła go.

— Masz rację — usłyszał. — Potrzebujemy twojej jałmużny. Ale to już koniec, Hugo. Za ten smalec możesz mnie jeszcze raz pocałować. No, nie krępuj się. Płacz. Całuj, na co czekasz?

Chciał ją uderzyć, a raczej sam z rozkoszą nadstawiłby twarz pod uderzenie. Zaciśnął szczęki, pięści.

— Przepraszam cię — powiedział po chwili. — Ja cię chyba jednak kocham, Elżbieto.

Nie patrzył na nią. Był odwrócony do okna; miał przed sobą dach sąsiedniego domu, pokryty burą naddartą blachą, z wprawionymi w cegłę rurkami kominów. Kominy pykały kłębuszkami dymu wtapiającego się w pierwszy niebieskawy zmierzch. Cała ta scena była idiotyczna, pozbawiona sensu, jak gdyby ktoś trzeci, kiepski scenarzysta, wciągnął ich w grę, przydzielał role, do których oboje zupełnie nie pasowali.

— Chyba cię jednak kocham — powtórzył, ciągle patrząc w okno i nie słysząc za sobą żadnego dźwięku, oddechu, poruszenia. — Kiedy to się skończy, będziemy żyli inaczej i ty zawsze będziesz miała rację. Ale teraz muszę, chociaż cię kocham i chcę doczekać czasów, kiedy będziemy to mieli za sobą. Mój ojciec...

Nie dokończył. Trącił paznokciem szybę, odpowiedziała przygłuszonym brzękiem. Najpierw było zupełnie cicho, potem dobiegł go ledwie słyszalny szept:

— To ja cię przepraszam, Hugo... Po prostu nie chcę, żeby ci się stało coś złego. Jestem bardzo głupia, Hugo.

— Chyba cię jednak kocham — powtórzył, znów uderzając paznokciem w szybę.

— Nie trzeba — usłyszał — Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

— I po pauzie: — Chciałabym wiedzieć, dokąd jedziesz... na co się narażasz.

Odwrócił się. Wyglądała tak jak przedtem, kiedy weszła do tego pokoju, jak gdyby nie było wykrzywionych warg, całej tej absurdalnej rozmowy.

— Na nic się nie narażam — powiedział siadając obok Elżbiety i kładąc dłoń na jej ręce opartej o poręcz sofy. — Niestety, zupełnie na nic. Traktują mnie trochę jak smarkacza, który może być co najwyżej gońcem. Tęsknię do czegoś naprawdę, a tymczasem...